

Hejterka

Natasza Socha

Hejterka

*Historia
pewnej
nienawiści*

zwierciadło

- To była dziewczyna z naszego osiedla...
- Ładna, miła, nie wiem, jak to się mogło stać...
- Spokojna, normalna rodzina...
- Mój Boże, to było jeszcze dziecko...

ROZDZIAŁ 1

Są ludzie, którzy muszą stać pośrodku sceny. Ale są też tacy, którzy wolą role statystów. Helena należała do tej drugiej grupy. Nie od razu zauważalna, głównie obecna w zakamarkach własnego świata. Wśród znajomych, którzy siedzieli na murku podczas dużej przerwy, była najbardziej cicha. Używała milczenia niczym artysta pędzla – z precyzją, wyczuciem, wiedząc, że nie każdą myśl warto wyrazić. Spojrzenie jej brązowych oczu wędrowało po innych z ciekawością, jakby chciała przebić się przez zewnętrzną powłokę. Świat na nią nie krzyczał, nie domagał się, by była w centrum uwagi. Helenie wystarczyło miejsce na marginesie, we własnej przestrzeni – spokojnej, zorganizowanej, subtelnej jak akwarela na szorstkim papierze.

Była artystką, choć sama tak o sobie nie mówiła. Jej szkice wyrażały więcej niż słowa. Kochała cienie, tła i detale, które wymagały uważności. Pociągnięcia ołówkiem nie były tylko aktem tworzenia. Stanowiły raczej szukanie sensu, jakby obraz na kartce mógł mówić to, czego nie potrafiła wypowiedzieć. Czasem publikowała swoje rysunki na Instagramie.

Kochała książki fantasy i ten rodzaj historii, w których pojawiały się inne krainy z własnymi mapami, językami i mitologiami. Bohaterowie mieli miecze, amulety albo moce, o których zwykli ludzie mogli tylko marzyć.

Uwielbiała opisy bitew, długie wędrówki przez góry i lasy, w których czaiły się elfy, krasnoludy, trolle, smoki, demony i upadli bogowie. W jej ulubionych książkach zawsze był też ktoś samotny – czasem mag znający zakazane zaklęcia albo wojownicza z przeszłością lub dziewczyna o oczach jak lód, która potrafiła rozmawiać z duchami.

Czytała o królestwach rozdzieranych przez wojny, o przepowiedniach, starożytnych runach, portalach między światami. Czasem dominowały światy mroczne i surowe, czasem dzikie, pełne magii i chaosu. Lubiła momenty, gdy rzeczywistość pękała, gdy coś niemożliwego wdzierało się do codzienności i nagle wszystko zaczynało nabierać sensu.

Jej życie, jak większości szesnastolatków, toczyło się wśród zwykłych chwil – lekcje, szkoła, wieczorne godziny spędzane przy laptopie, poszukiwanie nowych inspiracji w social mediach, które stawały się dla niej czymś więcej niż tylko zwykłą zabawą w obserwowanie światów innych ludzi. Uwielbiała przebywać sama, tylko ze swoim szkicownikiem. To była jej tajemnica – nie chciała, by ktoś ją rozgryził, wyciągnął na wierzch. I to było w niej piękne, bo umiała dbać o swoją prywatność z niebywałą gracją.

Z zewnątrz wyglądała na zwyczajną dziewczynę – ubraną w luźne, wyblakłe dzinsy, koszulki z ulubionymi zespołami, z włosami związanymi w kitkę i z delikatnym rumieńcem na policzkach, który pojawiał się, gdy ktoś przypadkowo zwrócił na nią uwagę. Prze-

ciężna nastolatka, z gatunku tych cichych, które nie domagają się światła reflektorów ani głównej roli. Na swój sposób była jednak akceptowana. Może dlatego, że nikomu nie przeszkadzała.

Lubiła obserwować ludzi w miejscach, gdzie nikt nie zwracał na nią uwagi. Park przy jednej z ulic nadawał się do tego idealnie. Ławki rozsiane pod nagimi jeszcze drzewami, dwie małe knajpki z kawą na wynos, ruch, który zmieniał się w zależności od pogody. Wyjmowała wtedy szkicownik, ołówek, siadała i otwierała czystą kartkę.

Tak było między innymi w ubiegły wtorek. Najpierw dostrzegła starszą kobietę w granatowym płaszczu. Stała przy kwaciarni po drugiej stronie ulicy, długo zastanawiając się nad wyborem, jakby podejmowała jedną z ważniejszych decyzji w życiu. Helena szybko naszkicowała jej zgarbioną sylwetkę i rękę uniesioną nad wiadrem tulipanów.

Kilka metrów dalej młody chłopak w dresie właśnie naciągał kaptur bluzy na głowę, jednocześnie rozmawiając przez telefon. Szedł szybko, ale co chwilę oglądał się za siebie, jakby ktoś go śledził. Helena uchwyciła ten ruch – napięte ramiona, wzrok skierowany gdzieś w bok. Lubiła nie tyle rysować ludzi, co raczej łapać ich w momentach zdradzających emocje: nerwowość, zawahanie, samotność.

Dziecko w czerwonej kurtce biegało wokół ławki, a jego ojciec czytał książkę, co jakiś czas jednak zerkając, czy mały nie upadnie. Helena szybko pociągnęła w szkicowniku kilka kresek oddających ruchy szkraba i pochyloną sylwetkę dorosłego, rozdarta między pilnowaniem malucha a pochłanianiem kolejnych stron lektury.

To wszystko trwało zazwyczaj kilka, może kilkanaście minut, a ona czuła się wtedy jak czujny obserwator, który widzi to, co umyka innym. Nie potrzebowała słów, wystarczały kreski i cienie.

Z całą pewnością był to jakiś rodzaj władzy. To ona patrzyła i zapisywała ołówkiem to, co widziała. Ludzie byli zajęci sobą i nawet nie zdawali sobie sprawy, że stają się częścią jej szkicownika.

Kiedy zamknęła notes i schowała go do plecaka, przez głowę przemknęła jej dziwna myśl, że kiedyś role mogą się odwrócić. Że tak samo jak ona widziała innych, ktoś mógł zobaczyć ją – dziewczynę siedzącą na ławce, pochyloną, skupioną nad kartką. I narysować ją w sposób, którego sama by nie chciała.

Ale to była dziwna myśl i Helena szybko ją przepędziła.

W kuchni było ciepło, a w powietrzu unosił się przyjemny zapach kawy. Mały, okrągły stół, z jedną nogą trochę krótszą (ale podpartą kawałkiem tektury), który pamiętał lata sprzed narodzin Heli, stał w centrum tej przestrzeni i był zdecydowanie najważniejszym meblem. Leżały na nim resztki chleba, kilka owoców, pomidor pokrojony w plasterki, twaróg zawinięty w papier, a obok stał stoiczek z miodem.

Marek, ojciec Heleny, siedział na swoim ulubionym krześle, które było mocno wytarte, ale on za nic nie chciał zgodzić się na nowe obicia. A tym bardziej na nowe krzesło. Lubił opowiadać zabawne historie z pracy, choć jego dowcipy czasem były albo zbyt skomplikowane, albo wcale nieśmieszne, ale to zależało od nastroju słuchających. Najczęściej się powtarzały, mimo że ojciec uporczywie twierdził, że przytacza je po raz pierwszy.

– Wiesz, jak to jest, Heleno – zaczął, poprawiając okulary. – W biurze pomyślałem, że zrobię kawę w ekspresie, no i oczywiście zamiast kawy wyszło mi coś, co przypominało bardziej wodę po gotowaniu brokułów. Nie wiem, jak to się stało. A potem koleżanka uświadomiła mi, że po prostu nie wyspałem świeżej kawy, tylko zaparzyłem wczorajszą.

– Ciebie nie da się uratować – westchnęła Judyta, matka Heli, zgarniając okruszki ze stołu i sięgając po jabłko. Jej głos był łagodny, ale pełen ciepła i zrozumienia dla powtarzającego się męża. – Słyszałyśmy to osiem razy. I to tylko w tym roku, a przypominam, że mamy marzec.

– Nic podobnego! – obruszył się. – Z całą pewnością nie mówiłem niczego o brokułach.

Matka patrzyła na niego przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy rzeczywiście warto wdawać się w dyskusję. Zamiast tego sięgnęła po filiżankę, dołała sobie kawy i zerknęła na Helenę, która siedziała przy stole, chowając uśmiech za książką.

– A ty co na to powiesz? – zapytała, unosząc brew. – Były już brokuły czy się mylę?

Hela wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od lektury. Lubiła te przekomarzanki rodziców, nawet jeśli nie brała w nich udziału. I nawet jeśli nie do końca im się przysłuchiwała.

– Możliwe. Ale zostawię was z tym problemem, bo muszę jeszcze odrobić fizykę. – Westchnęła ciężko. – Znowu niewiele z niej rozumiem.

– To kwestia czasu, wierz mi. – Ojciec uniósł palec. – Ty masz w sobie taką magię, że ostatecznie zakończysz naukę fizyki z oceną,

która rozłoży wszystkich na łopatki. Oczywiście w pozytywnym znaczeniu.

– Tylko jeśli naprawdę się postaram albo wydarzy się cud – odpowiedziała Helena, nie podnosząc wzroku.

Matka poklepała ją po ramieniu, uśmiechając się delikatnie.

Dziewczyna wstała powoli od stołu i ruszyła w stronę swojego pokoju. Przeszła przez wąski korytarz, na ścianach którego wisiały jej rysunki, i otworzyła drzwi po lewej stronie. Było to niewielkie pomieszczenie, z jednym oknem wychodzącym na blok naprzeciwko, pełne książek, szkiców, papieru i wszystkiego, co potrzebne do tworzenia. W rogu stał stary stolik; na nim Helena trzymała swoje rzeczy – pędzle, ołówki, gumki, nożyczki i teczki z zamkniętymi projektami.

Usiadła na łóżku, zerkając na kartki leżące obok, aż w końcu sięgnęła po jedną z nich, na której zaczęła szkicować wczoraj wieczorem. Rysunek nie miał jeszcze wyraźnych konturów, był jedynie zbiorem linii, które dopiero ułożą się w konkretny obraz.

Palce Heleny były pewne, ale spokojne. Zaczęła od twarzy – okrągłej, delikatnej, z miękkimi kreskami niebiegnącymi w jednym kierunku, lecz wędrującymi w różne strony, jakby odbijając się od każdego szczegółu. Wiedziała, że postać, którą tworzy, ma być kimś zupełnie nowym, ale jeszcze nie wiedziała kim.

Zaczęła od oczu. W swojej wyobraźni widziała je szeroko otwarte, a jednocześnie pełne tajemnicy, jakby chciały wyjść poza ramy papieru. Linie ołówka nie były zbyt mocne, nie wyznaczały sztywnych granic. Powstawały z nich cienkie kreski, krzyżujące się w miejscach, gdzie miały pojawić się rzęsy z małymi, ciemnymi plamkami.

Czoło postaci było lekko wypukłe, usta – pełne, ale nie przesadzone, z naturalnym cieniem w kącikach, które nadawały im delikatnej wyrazistości. Wszystko wydawało się na razie nieokreślone, jakby ta twarz miała ożyć już za chwilę, kiedy pojawią się inne, bardziej szczegółowe cechy.

Ręka Heleny płynnie przesuwiała się po papierze, rysując szyję, której linie były subtelnie wydłużone. Krzywizna ramion tworzyła naturalny kształt, jakby postać miała za chwilę unieść głowę. Każdy szczegół zdawał się mieć znaczenie, rysunek nie był tylko ilustracją, lecz procesem odkrywania, powolnym wyłanianiem się tego, co nieznanne.

Helena zastygła na chwilę z ołówkiem w dłoni, patrząc uważnie na postać. Zawsze tak robiła – nie spieszyła się, musiała poczuć, że w tym szkicu jest już coś, co ją przyciąga. Dopiero wtedy zaczęła dodawać tło, delikatnie zaznaczając krawędzie postaci, by nie sprawiała wrażenia płaskiej. Gdy ołówek zawędrował w stronę cienia na szyi, cała postać wydawała się nabierać życia. Wszystko działo się powoli, każdy ruch, każde pociągnięcie miało swój sens i porządek.

Gdy skończyła, odłożyła ołówek na bok, spoglądając na to, co stworzyła. Postać nie była jeszcze gotowa – czegoś jej brakowało, ale w tym momencie nie to się liczyło. Helena zawsze patrzyła na proces. Na to, jak każda linia staje się częścią czegoś większego, by w końcu wszystko znalazło swoje miejsce. Nie wolno było się spieszyć, bo wtedy obraz wymykał się, stawał zbyt chaotyczny i nie oddawał tego, co wyobraziła sobie Helena.

Osiedle, na którym mieszkali, było jednym z wielu w tym mieście – może nie wyglądało zbyt atrakcyjnie, ale tętniło życiem.

Ich blok stał mniej więcej pośrodku i był w kolorze cytrynowym, wzbogaconym o zacieki i dyskretną warstwę kurzu. Niemniej wyróżniał się na tle pozostałych budynków, które wymalowano w odcieniach błękitu. Ojciec zawsze powtarzał, że architekt był prawdopodobnie zauroczony słowami piosenki *Chodź, pomaluj mój świat* i im trafił się fragment „na żółto”, a pozostałym „na niebiesko”. Kiedy wychodziło słońce, blok wydawał się promienieć złotym blaskiem i wtedy wyglądał naprawdę imponująco. Na klatce schodowej co jakiś czas można było wyczuć zapach środków czystości zmieszany z resztkami dymu papierosowego i świeżego chleba, który sąsiedzi wypiekali w swoich kuchniach. Mama Heleny również zaliczała się do tych osób, chociaż raczej rzadko.

Sama przestrzeń osiedlowa była dość prosta – podwórko obok bloku, trochę już zniszczone w ciągu wielu lat, gdzie trawa nie chciała rosnąć wzdłuż ścieżek, za to przebijała się przez fugi w płytach, w większości mocno popękanych. Na placu zabaw stały kolorowe huśtawki i piaskownica, w której bawiły się kolejne pokolenia dzieci. Niedaleko znajdował się parking, niestety dość mały, więc każdego popołudnia odbywały się tam nieformalne walki o miejsce. Rodzice Heleny również brali w nich udział i tak, na przykład, kiedy ojciec dzwonił, że będzie za siedem minut, matka zbiegała na dół i przepędzała każdego, kto próbował zaparkować na wolnym miejscu. Mówiła, że za chwilę podjedzie tu samochód ciężarowy z nowymi meblami albo zjawi się karetka do starszej pani spod siódemki. Czasem to działało, częściej nie.

W pobliżu znajdował się mały sklep spożywczy, w którym nad drzwiami zamontowano dzwoneczek, informujący donośnym

dźwiękiem, że ktoś właśnie przyszedł po zakupy. Albo wychodzi. Właścicielka również nie zmieniała się od lat, chociaż nikt tak naprawdę nie wiedział, jak miała na imię. Była po prostu właścicielką w eleganckich bluzkach (zawsze białych) i z włosami upiętymi w kok. Obok, po drugiej stronie osiedla, znajdowało się boisko, które jednak od dobrych kilku lat nie widziało młodzieży. W miejscu kiedyś pełnym gwaru, śmiechów i krzyków pozostały jedynie zardzewiałe bramki i marnej jakości murawa.

A jednak, mimo tej monotonnej codzienności, osiedle żyło. Codzienne spotkania na klatce schodowej, sąsiedzi rozmawiający ze sobą z balkonów, spacerzy z psami i kłótnie o to, czy ktoś sprzątnął po swoim pupilu. Wszystko było dość powtarzalne i przewidywalne, ale to miejsce miało swoją historię i swoje życie pełne małych rytuałów. Choć był to tylko kawałek betonowej rzeczywistości w wielkim mieście, większość mieszkańców czuła się tu dobrze. Helena również.

W jednym z mieszkań na parterze starsza pani codziennie rano gotowała jajka na twardo. Na drugim piętrze mieszkał mężczyzna po pięćdziesiątce, z małym, kędzierzawym psem, który szczekał zawsze o pełnych godzinach. Mężczyzna stawał przy oknie z kubkiem herbaty, raz po raz wychylał się nieco, jakby sprawdzał pogodę, a pies biegał w kółko po kuchni, co jakiś czas uderzając ogonem w szafkę. Był w tym jakiś spokój, ale pewnie też samotność.

Mieszkanie na trzecim piętrze wynajmowało dwóch studentów. W nocy oglądali seriale na Netfliksie i śmiali się, ale dość cicho, jakby nie chcieli nikomu przeszkadzać.

W bloku obok kobieta z włosami upiętymi w dwie kitki w każdą sobotę sprzątała swoje mieszkanie. Przeciągała powoli odkurzaczem

po dywanie, poprawiała poduszki na kanapie i przecierała blaty dwóch stolików. Bury kot wpełzał między jej nogi, a ona brała go wtedy na ręce i sadzała na krześle. Na stole w kuchni leżały rachunki i paragony, które układała w małe stosiki.

Mieszkała tu też rodzina z małym dzieckiem. Kiedy kobieta siekała cebulę, robiła to rytmicznie i bardzo precyzyjnie. Chłopczyk z uwagą jej się wtedy przyglądał, wystawiając koniuszek języka. Jego ojciec sprawdzał coś w telefonie, czasem komentując pogodę albo ruch na parkingu. Dźwięki z kuchni i mieszkania mieszały się ze skrzypieniem windy i stukotem obcasów na klatce schodowej.

Przed blokiem dwie starsze panie podlewały rośliny w donicach ustawionych przy murku, wymieniając się plotkami o sąsiadach. Chłopcy jeździli na rowerach po wydeptanych ścieżkach, co niejednokrotnie kończyło się tym, że wpadali w kałuże, a psy ciągnęły za smycze, próbując się wyrwać i pobiec za jednoślądami. Brama od śmietnika trzaskała przy każdym otwarciu, a wiatr przynosił zapachy gotowanych obiadów. Czasem zjawiał się tu jamnik Figiel i Klaudia, jego właścicielka, a wtedy wszyscy chcieli zobaczyć sztuczki psiaka. Ale o tym później.

To było bardzo zwykłe osiedle, jakich tysiące w Polsce i na całym świecie.

Tyle że na zwykłych osiedlach również dochodzi do tragedii.